

W drodze do LUDZI

4 grudnia skończy pół wieku, ale mówi, że liczy się jego drugie życie. To od marca 1980.

– Nazywali mnie Kuleczka, bo to wszystko było zabandażowane – mówi **Jan Kadziewicz**. – Miałem 100 g krwi i bardzo słaby puls. Żona dostała akt zgonu, zegarek, obrączkę. Młody lekarz nie wyczuł pulsu, więc kazał mnie wywieźć. Najpierw do brudownika. Na szczęście, nie zdążyli do kostnicy.

Dobre i złe dni

Barbara Olszewska, z bydgoskiego oddziału Fundacji Arka, zajmuje się niepełnosprawnymi od 2002 r. – Zależy mi na tym, żeby wychodzili z domów i zaczęli normalnie żyć. Czasy się zmieniają, więc trzeba zrobić wszystko, żeby poczuli się potrzebni – tłumaczy. Pięć lat temu ogłosiła dla nich konkurs „Świat i ja, moje dobre i złe dni”. Autorów najlepszych prac, które zostały wydane, zaprosiła do Magnolii w Ustroniu. Przyjechali młodzi i starsi, na wózkach, o własnych siłach, po terapiach nowotworowych, endoprotezach, słabo i niedowidzący; także z opiekunami. – Bałam się, kogo tu spotkam. Nigdy nie miałam kontaktu z niepełnosprawnymi. Nie wiedziałam, czy będę umiała z nimi rozmawiać – mówiła elegancka blondynka z Radomia, która przywiozła męża laureata. Jak inni, wyjeżdżała do domu z ciepłymi wspomnieniami i z żalem, że turnus się skończył.

Śmierć kliniczna

– Cała wieś mówiła, że pan Jasiu nie żyje. Żona nie jadła, nie piła, chodziła jak patyczek. I jeszcze sześciomiesięczna Emilka – opowiada Kuleczka. – 19 dni leżałem nieprzytomny. Dwa tygodnie na morfinie.

Wreszcie lekarz kazał przewieźć mnie na ogólny. Na czwarty dzień nie było ordynatora, tylko jakiś młody. Zobaczył, że nie dycham, a chłopcy z sali powiedzieli, że od rana nic nie mówiłem, to postawił parawan, siostry przyszły, mnie na wózek i wywieźli. Do 18.00 leżałem cichutko. Jak był wieczorny obchód, mój lekarz spytał „A gdzie Kuleczka”. Przyszedł do mnie, wyczuł puls i zaraz na pooperacyjny, do transfuzji krwi. Tam czułem śmierć kliniczną. To jest tak, jak piszą. Przechodziłem przez ten tunel, patrzyłem, zielono, ładnie. Nie mogli mnie przebudzić. Mówili: „Jasiu, wstawaj. Jasiu, zobacz, żona jest. Weź zobacz, córka przyszła.” Czuję, że ksiądz nade mną stoi. A ja nie. Oczy otworzyłem, ale nie, ja tu nie chcę. Się boję. Chcę tam.

– Mówią, że nie chce się wracać – szuka potwierdzenia pani Basia. – Nie chce się, kochana. Ale tam, jakby ktoś stoi: „Jeszcze masz rodzinę, jeszcze masz życie, jeszcze zjedziesz, jeszcze się spotkamy”. I tak mi te słowa dudnią: „Posiedź troszkę. Jeszcze czeka ktoś na ciebie”. A ja: „Nie chcę – mówię, kochana – nie chcę. Tu mi się podoba. Taka przystań.” Nie wiem, przez obłoki tak jakby dochodził głos mamusi. Bo ona młodo mi umarła. To ja do mamy dochodziłem i co doszedłem do tego głosu, zaraz mgła. Mamę widziałem i jeszcze chrzestnego. I nie wiem, czy to mama mówiła, czy to jakiś głos jeszcze za nią stał i: „Zjedź” mówi. Tam masz jeszcze żonę, zostawiłeś, dziecko małe. Ona miała dopiero pół roczku. I mówi: „Jeszcze nie, jeszcze”. A ja, że już zostanie.

(z listów do Arki)

Pokonać nieśmiałość

„Od 22 lipca do 1 sierpnia 2006 spotkałam się ze znajomymi w Ustroniu. Od trzech lat Fundacja Arka zaskakuje nas nieprzewidywalnymi działaniami. W tym roku zorganizowała warsztaty artystyczne. Zdobywaliśmy wiedzę z psychologii, dziennikarstwa, aktorstwa, by stawać się pożyteczniejszym dla siebie i środowiska, w którym żyjemy. Niektórzy z nas po raz pierwszy w życiu zaprezentowali się przed publicznością, zredagowali gazetkę, porozumiewali się bez słów, używając mowy ciała. Tego typu wyjazdy pomagają nam pokonać nieśmiałość, otworzyć się na ludzi, a przede wszystkim wyjechać z miejsca zamieszkania” – Anna Tokarska.

Powroty

– Jak wróciłem do tego świata, ciężko było potem. Tak mi dziwno było. Te łóżka, bo to na tej ortopedii. Te łańcuchy. Miałem jeszcze miażdżycę w kolanie. I tego kolana nie dało rady uratować. Tak ciężko, jak schabowy, po kawałku, po kawałku, bo się posuwało. I wreszcie lekarz mówi: „Co będziemy cię męczyć, wyciągniemy to drugie kolano, wyrównamy do protezowania”. Teraz mam protezy i chodzę na nich. Ale swobodnie czuję się bez, bo to są nasze polskie, długo nie pójdziesz, bo ocierają, plastik w kolanach ciśnie i nie zegniesz. Chodzisz jak na sztychach. Lato, za gorąco, bo odparzają, a zimą marzną, że noga cała

sina jest. Po tym szpitalu i po tym wszystkim, to siedziałem jak kanarek w klatce. Sześć lat nie wychodziłem, tylko w oknie patrzyłem. Nie wychodziłem nigdzie. Raz tylko na dwie godziny wyszedłem na podwórko. Ale tam dzieci, sąsiedzi: „Ty patrz, nogi nie ma, ręki” i tak tego. I kilka lat siedziałem. Dopiero taki ksiądz Łada z Pruszcza, on jest opiekunem niepełnosprawnych. Co rok jeździ z tymi chorymi na wózkach do Lurt. Mnie też zaproponował. Byłem w Lurt, u Matki Boskiej, w tym źródle się wykąpałem, popatrzyłem, a tam ludzie leżą po kręgosłupach, jak martwe te dusze. To ja jeszcze nie tak. Dziewczynka, która ani nóg, ani rąk nie miała, tylko główka i tułów. Związana na wózek elektrycz-

(z listów do Arki)

Działać w lokalnym środowisku

„Od 28 kwietnia do 8 maja 2007 brałam udział w zajęciach z psychologiem, aktorem, instruktorem teatralnym, dziennikarzem, doradcą zawodowym i prawnikiem. Wszystkie spotkania miały zaktywizować niepełnosprawnych do udziału w życiu społecznym. (...) Ukończyłam filologię polską. Nigdy nie brałam pod uwagę pracy dziennikarza, ale w tej chwili poważnie zastanawiam się, czy nie mogłabym takiej formy działalności wykorzystać w środowisku lokalnym” – Aleksandra Kryszak.

Pamiętam wszystko

– Na co dzień w domu siedzę i pani by nie uwierzyła, ale ziemniaczki obiorę żonie, jak przyjdzie, pranie zrobię, obiadek zrobię, takie rzeczy domowe. Tak samo córce i dzieci se wychowałem. Najstarsza ma 25 lat Emilia. To ona miała pół roczku, jak wpadłem pod pociąg. To było w marcu 1980 r. Tego dnia w Gdańsku podpalili budynek KC. Na ulicach było mnóstwo gazu, służby porządkowe kontrolowały wszystkich. Ok. 16.00 koło domu partyjnego była zadyma. Potem pod Stoczną strzelali z gumowych kul. Wracałem z pracy i patrzyłem, żeby jak najszybciej wsiąść do pociągu na peronie, bo ja tam miałem kolejkę, dziesięć minut do domu. Pszczółki to jeden przystanek: Orunia, Pruszcz Gdański i Pszczółki. To mówię, szybko wsiąść, ale ten pociąg był tak już nabity, bo to wszystko pakowało się, bo to gazu, dymu, szkła, szyby lecieli. Jakoś się tam przedostałem ze łzami, weszłem do pociągu i byłem w środku. Dwóch stanęło, drzwi przytrzymałi i: „K... się nie podoba? Duszno wam?” – mówią. Jeden blondyn, pamiętam, przed wejściem był. „Nie, panowie – mówię. – Zamknijcie drzwi, bo wylecimy”. I jest odjazd. Ale nic, bo



nym, tak jak mikrofon ten joystick i se jeździ. Chłopcy, wszyscy koło niej, wesoło. W tamtych latach u nas nie było tego. I teren przystosowany, jak lotnisko. I ten duch, ta woda, wykąpanie w tym źródle. Wróciłem i mówię: „Nie”. I do dzisiaj taki zdrowy, w ogóle nic mnie nie boli. Nie choruję, do lekarza to idę, żeby mi tam wypisał na protezę czy jakąś rzecz. A tak, to nie.

– Cmentarz to nie instytucja, którą można zamknąć i zawiesić kartkę, że z braku miejsc chwilowo nieczynne. Tu wszystko musi funkcjonować płynnie – twierdzą współwłaściciele firmy Products, od 1998 administratora nekropolii przy Żwirowej.

Cmentarz komunalny przy Żwirowej rozciąga się na obszarze ok. 30 ha. Pochówki rozpoczęto w 1968 r. Obecnie jest tu 36 tys. mogił i zaczyna brakować miejsc na kolejne.

Parcela już jest

Zdaniem naczelnika wydziału gospodarki komunalnej UM **Leszka Rybki**, miejsc na mogiły starczy jeszcze góra na półtora roku. Pilnie trzeba więc powiększyć nekropolię. W tym celu ogrodzono trzyhektarową parcelę od strony parku Słowiańskiego.

– Na jej zagospodarowanie jest

już gotowy projekt. Mam nadzieję, że dostaniemy na to pieniądze. Teren trzeba uzbroić i wytyczyć alejki – słyszymy w wydziale gospodarki komunalnej. Najważniejszą sprawą będzie doprowadzenie wody. Współwłaściciel firmy Products **Roman Romaniszyn** ma nadzieję, że nową parcelę uda się zasilić wodą z już funkcjonującej na cmentarzu sieci.

Zdaniem naczelnika Rybki teren przy parku powinien zabezpieczyć pochówki na jakieś pięć, sześć lat. Jednak trzeba już myśleć o znacznym powiększeniu nekropolii. Na ten cel doskonale nadaje

Miejsc pochówku wystarczy na półtora roku

Przenosiny cmentarza

